Nr. 5. Lwów, dnia 1. marca 1907. Rok XXX.



Wpisowe do Towarz. (jednarazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 m rek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca“.

ODEZWA.

Strasznie ciężka, tegoroczna zima wyryje się czarnemi głoskami w pamięci naszych myśliwych. Praca, zapobiegliwość i łożone koszta przez lat kilkanaście, poszły na marne. Większa część pożytecznej naszej zwierzyny stała się ofiarą szalonych mrozów i śniegów. Nie pomogło obfite karmienie. Tysiące sarn zginęły na zapalenie płuc, tysiące kuropatw z głodu lub wyłapane na sidełka kłusowników. Zając może jeszcze najlepiej wyszedł z tej strasznej kampanii, ale i jego zdziesiątkowała zima.

Dziś zdawałoby się, że najgorsze już minęło, marcowe słonko walczy pomyślnie z mrozami i topi zabójcze dla zwierzyny śniegi. Tak jednak, niestety, nie jest. Zima wprawdzie mija, ale klęska nie doszła jeszcze w swym zgubnym pochodzie do kulminacyjnego punktu. Sarny i zające wygłodzone zimą rzucą się chciwie do pierwszych, wyglądających z pod śniegu traw i ozimin. Pożywienie to będzie zgubne dla nich i dzięki niemu setki jeszcze tych zwierząt zginą na motylicę i inne wewnętrzne choroby.

Do chwili tej hodowca i myśliwy stał bezradny wobec rozpasanej siły żywiołowej, teraz nadeszła chwila do czynu i zapobiegliwej pracy. Należy powiększyć teraz dawki karmy dla zwierzyny, nie spuszczając się na to, że śniegi stajały i że ona ma już co jeść. **Pamiętajmy, że tylko nader obfite karmienie zwierzyny przez czas tajania śniegów aż do osuszenia się ziemi, odwrócić może straszne następstwa srogiej zimy.**

Pamiętajmy o karmie dla naszych jeleni, sarn i zajęcy.

W porze tej zwierzyna wyczerpana głodem i niewczasem zimowym, w peryodzie zmiany sukni, potrzebuje pokrzepienia organizmu **przez obfitsze spożywanie soli, przeto obficie zaopatrzone lizawki są też ważnym czynnikiem w odwróceniu klęski.**

Nie żałujmy więc jakiś czas jeszcze owsa, siana, koniczyny i soli dla naszych jeleni, sarn i szaraków, a trudy i koszta nie pójdą na marne.

Wdzięczni bylibyśmy naszym członkom za wiadomości, ile w poszczególnych rewirach pożytecznej zwierzyny tej zimy zginęło. Na podstawie procentowego ubytku, spowodowanego przez klęskę, wyrobilibyśmy sobie obraz całego spustoszenia i pogląd na stan obecny zwierzyny w naszym kraju.

Wydział Gal. Tow. Łowieckiego.



ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI.

Wspomnienia ze Smorza.

(Ciąg dalszy).

Podniosłem binokle i na odległość około 800 kroków rozpoznałem trzy łanie i jelenia ze średnim wieńcem Przypatrzywszy się do syta, opuściłem binokle i wtedy o jakie 300 kroków przed sobą ujrzałem jakieś zwierzę, biegnące truchtem w poprzek połoniny. Zjawisko to było tak niepodobne do wszystkiego, co w mojej dotychczasowej karyerze łowieckiej widziałem, że dopiero przy pomocy szkieł rozpoznałem wilka. Biegł truchtem na połeć odemnie przez połoninę, szeroką w tem miejscu na jakie 300—400 kroków. Szedł wprost na to miejsce, gdzie przed chwilą stałem przez pół godziny, słuchając jelenia. Co za fatalność! gdybym był przypadkowo został na tem miejscu jeszcze dwie minuty, byłby mi ten wilk wleciał wprost pod lufę. Nie było się co namyślać. Złożyłem się w tej chwili, ale było już tak szaro, że muszki i wyzyra nie mogłem ani rusz doprowadzić do porządku; luneta niestety wisiała na gwoździu na Ozerze. Wymierzywszy, o ile mogłem jak najdokładniej, strzeliłem. Wilk podskoczył przynajmniej na metr w górę. Dostał! — pomyślałem. Zrobił kilka lansad i stanął. Strzeliłem po raz drugi. Wilk machnął polanem i pomknął, a za nim moja trzecia kula. Pospieszyłem natychmiast szukając śladów, ale ani farby, ani turzycy ani wilka pomimo najsumienniejszych poszukiwań nie znalazłem. Poszukiwania ponowione nazajutrz przy dziennem świetle skończyły się ujemnym wynikiem. Poszedł zdrów niestety. Najbliższy strzał danym był na odległość 247 kroków, dwa dalsze na znaczniejsze odległości. Przypuszczam, że pierwsza kula uderzyła w ziemię tuż przed wilkiem i obsypała go grudkami wyrwanej ziemi, stąd też ten skok gwałtowny, który wzbudził we mnie przypuszczenie, że wilk kulę dostał. Gdyby było jaśniej, lub gdybym był miał lunetę na sztućcu, byłbym dziś pewnie tego wilka liczył na moim rozkładzie.

Nieraz chodząc wśród Smorzańskich ostępów, kołysałem się nadzieją: „A nuż łeb niedźwiedzi ukaże się z za kłody“. Nieraz siedząc godzinami w jakimś dzikim parowie, nie byłbym sie ździwił ujrzawszy rysia lub żbika, — o wilku nie myślałem nigdy. Uchodziły one za zupełnie wytępione w tej okolicy i od lat nikt tu wilka nie widział. Niestety, po tym pierwszym ukazały się i inne i mimo, że szczęśliwsi odemnie towarzysze już trzy uśmiercili, są dziś wilki plagą Smorza i okolicznych rewirów.

W kilka dni po tem niefortunnem spotkaniu z wilkiem udałem się dla dokończenia sezonu jeleniego do Duby, skąd trąbił na alarm dzielny towarzysz P.

Już dobrze nad wieczorem dojeżdżałem do koleby w Dubszarze, położonej wśród lasu nad bystrym potokiem.

Nie mogło być wątpliwości, kto tu sobie założył rezydencyę. Profan nawet byłby poznał, że nie mieszka tu ani artysta od smyczka, ani od fleta, ale artysta od sztućca. Przed kolebą leżał rozciągnięty gruby dziesiątak, w potoku tuż obok mokły trzy pary rogów, na dachu koleby suszyły się rogi, wewnątrz na ścianach rogi, na łóżku rogi, pod łóżkiem „honny soit qui mal y pense“... rogi.

Kolega P. siedział tu od dwóch tygodni, a owoce jego sumiennej pracy podziwiałem w tej chwili. W chwili mego przybycia był P. nieobecny, a od służącego jego dowiedziałem się, że od kilku dni bawi tu także znajomy mój, dzielny myśliwy Dr. M. Ciemnym zmrokiem wrócili obaj łowcy z lasu. Opowiadaniom i zapytaniom nie było końca. Koleba cała miała 6 m^2 powierzchni. Na tej przestrzeni trzech groźnych łowców, cały arsenał broni, muzeum trofeów, dwa łóżka, zapasy spiżarniane, urządzenia kuchenne i toaletowe, cała sterta obuwia etc. etc. Można sobie wyobrazić, jak to wyglądało. Dr. M. mieszkał w namiocie w lesie, służba i gajowi w namiocie przy kolebie, lecz nawet i dla nas dwóch nie było w kolebie za przestrono. Kolega P. który ma pewnie obłożonych sześć stóp długości, a także i niektóre wspólne cechy z pewnym bohaterem Rostanda, dokazywał cudów zręczności, aby nie wejść w konflikt z pułapem lub przeciwległą ścianą. Moja sytuacya była łatwiejsza ze względu, że natura nie była dla mnie tak hojną, budując mnie z mniejszym rozmachem. Do koleby przystawione poddasze z gałęzi jodłowych chroniło nasze kufry i kuchnię i służyło nam za gabinet toaletowy. Urządzenie tego gabinetu pozostawiało wiele do życzenia, zwłaszcza wobec przymrozków, a później uporczywej słoty. Z tem wszystkiem położenie było prześliczne, mieszkaliśmy jak jacy traperzy zamknięci wśród ścian dzikiego jaru, kołysani do snu ustawicznym szumem borów i szmerem potoka, przepływającego u samego rogu koleby.

P. syt był już tryumfów i rad byłby mnie doprowadził do strzału, ale nie było to tak łatwo. Jeleni było nie wiele, a te co były, nie ryczały. Tułaliśmy się więc na ciemno po kniejach, licząc chyba na szczęśliwy przypadek. Trzeciego dnia zaczęło lać jak z cebra i przez cały prawie tydzień aż do naszego wyjazdu lało bez miłosierdzia. Można sobie wyobrazić nasz żywot wśród tej słoty w ciasnej kolebie. Drugiego dnia tej słoty, stojąc na progu koleby, ujrzałem nadzwyczajny widok. Cały potok wypełniony był żabami, tysiące i dziesiątki tysięcy tych żab płynęły bezustannie w dół z wodą. Coraz nowe falangi żabie nadpływały, a osobne pomocnicze korpusy maszerowały na piechotę brzegami, jakby w asekuracyi głównej armii, płynącej z prądem potoka. I wtedy stała się rzecz nadzwyczajna. Dwaj łowcy, którym do zadowolenia nie wystarczał byle jaki dzik lub jeleń, którzy liczyli na rozkładzie setki grubej zwierzyny, zdobytej w prawdziwie łowiecki sposób, którzy jak kolega P. potykali się z wilkami i niedźwiedziami, pochwycili malutkie sztućczyki, przeznaczone na jarząbki i poczęli bombardować te żabie

legiony. Każdą kulę kwitował biały brzuszek i wyciągnięte, jakby o pomstę wołające, cztery żabie łapki. Dokazywaliśmy cudów i sam Carver pozazdrościłby nam celności. Zanim się opamiętaliśmy, wystrzelaliśmy pewnie setkę ładunków. Poczem sztućczyki poszły na kołek, a woda zatarła ślady naszych żabich łowów.

Następnych dni płynęły żaby nie niepokojone już więcej przez nas, a w dniu, w którym wyjeżdżaliśmy, ciąg żabi trwał dalej w najlepsze. Nie jestem w możności obliczyć nawet w przybliżeniu tej kolosalnej ilości żab, jaka wtedy odbywała wędrówkę. Wszystkie należały do jednego gatunku „Rana temporaria“ (Grasfrosch); polskiej nazwy tej żaby nie znam. Duża, bronzowa, ciemno-popstrzona, wysmukła żaba, pospolita w lasach i ogrodach. Widywałem ją często pojedynczo, ale o takich ilościach nie miałem wyobrażenia.

Zdaje się, że wszystkie żaby, zamieszkujące w dorzeczu tego potoka, korzystały z wezbrania najdrobniejszych strug leśnych, ażeby tą drogą dostać się na głębsze wody, w których te płazy odbywają sen zimowy.

Nie mogąc dosiedzieć w kolebie, wyszliśmy 6-go października około południa, wśród dojmującego kapuśniaku na zbrojną przechadzkę. Niosąc sztućce pod płaszczami, szliśmy łożyskiem potoka w górę, wśród ustawicznie płynących żab.

Łożysko coraz się zwężało; wreszcie znaleźliśmy się wśród ostro w górę spiętrzonych ścian w miejscu, gdzie potok wypływa z pomiędzy miotów Kuryłów i Borsukowate. Skakaliśmy wśród wody z kamienia na kamień, gdy nagle jakiś brzęk podejrzany doszedł moich uszu. Pochwyciłem idącego przedemną mojego towarzysza za połę i zatrzymaliśmy się. Odgłos się powtórzył, ale po dłuższej dopiero debacie, uchwaliliśmy większością głosów, że to jeleń ryczy. Anormalna godzina, szum potoka i szelest ustawicznie padającego deszczu, długo utrudniały nam rozpoznanie.

Ryczał rzeczywiście gdzieś daleko jeleń. Ale gdzie? Wiadomo, jak trudno myśliwemu, znajdującemu się na dnie parowu oznaczyć, czy jeleń ryczy na prawym lub lewym stoku. Decyzya jest bardzo niełatwą, bo często słyszy się nie głos jelenia, lecz tylko jego zwodnicze echo. Tak było i tym razem. Towarzysz mój utrzymywał, że jeleń ryczy w Borsukowatem, mnie wydawało się, że w Kuryłowie. Wbrew własnemu przekonaniu, wobec jego dokładniejszej znajomości kniei, poszedłem za jego zdaniem i począłem wspinać się na stok Borsukowatego. P. ażeby mi nie przeszkadzać, został na dole.

Im bardziej wspinałem się w górę, tem bardziej słyszałem jelenia, który ryczał bezustannie, w tem samem miejscu, ale wyszedłszy na szeroką polanę od Suchodołu, przekonałem się, iż P. był w błędzie, gdyż jeleń ryczał w przeciwnej stronie, na Kuryłowie. Więc znowu marsz na dół, przeprawa przez potok i drapanie się na stok Kuryłowa. Straciłem dobrą godzinę czasu. Jeleń poczciwy ryczał niezmordowanie, drugiego takiego sumiennego koncertanta w życiu nie słyszałem. Wśród starej jedliny bez zwałów i gąszczów szedłem po mchach wygodnie, jak po dywanie. Wiatr był doskonały, a szum deszczu, lejącego teraz, jak z cewki, tłumił wszelki inny szelest. Doszedłem tak do niewielkiego gąszczyku; tam był jeleń. Stanąłem o kroków może 60, i począłem się wpatrywać, lecz nic dojrzeć nie mogłem. To blizkie sąsiedztwo z jeleniem, który już ujść bez strzału nie może, a jeszcze jest niewidzialny, jest może najmilszą i najbardziej emocyonującą chwilą z całego podchodu. Podniecona wyobraźnia maluje sobie ten niewidzialny wieniec w olbrzymich rozmiarach. Myśliwy ma prawo przypuszczać, że może nadeszła ta długo oczekiwana chwila spotkania z owym wymarzonym i przez długie lata oczekiwanym, wyjątkowo kapitalnym bykiem.

Walka między nerwami a rozwagą i wymuszenie na sobie potrzebnego do strzału spokoju zajmują myśl całą.

Co wyjdzie z tego gąszczu? Jaka czeka mnie niespodzianka? Czy spotka mnie nareszcie zasłużona nagroda za trudy i uczciwą łowiecką pracę? Takie mniej więcej były moje myśli wobec tego niewidzialnego jelenia.

Widziałem dobre wieńce ubitych przez P. jeleni, lepsze jeszcze miały krążyć po rewirze. Czyżby to miał być jeden z nich?

Wtem zrobił jeleń ruch nieznaczny i za zasłoną liści ujrzałem jego niewyraźne kontury. Wieniec był częściowo zakryty, a chociaż był dość wysoki, poznałem zaraz, że nie jest kapitalny. Miałem na sobie pelerynę bez rękawów, utrudniającą strzał, a pod nią sztuciec jeszcze zabezpieczony. Pod płaszczem odkręciłem zasuwkę i podniósłszy połę peleryny na ramię, przypiąłem ją szpilką, ażeby mi nie przeszkadzała. Uskuteczniwszy to wszystko z najzimniejszą krwią wobec ryczącego jelenia, wymierzyłem najspokojniej w łopatkę i posłałem jeleniowi kulę. W chwili strzału widziałem prawy połeć, po strzale jeleń zrobił pół obrotu, postąpił parę kroków i stanął. Strzeliłem powtórnie i czekałem rychłoli jeleń padnie. Nie było mu to jednak w głowie, począł tylko się rozglądać i maszerować powoli.

Strzeliłem raz trzeci. Jeleń stanął i znowu się rozgląda; zaczynałem dostawać drżączki, wreszcie po czwartym strzale padł. Był to bardzo silny ósmak, o długich, czarnych, regularnych tykach.

Trzy kule tkwiły w lewej komorze. Pierwszy strzał był zupełnie chybiony.

Nazajutrz dążyliśmy już do świata i kultury. Za nami posuwał się rydwan pełen jelenich wieńców i zostawały wspomnienia, wiążące nas z tymi uroczymi borami.

Przerywam w tem miejscu cykl moich wspomnień z łowów jelenich, lękając się, czy nie nadużyłem cierpliwości kolegów po broni, którzy te karty czytać będą. Nie wydarzyły mi się żadne nadzwyczajne wypadki, ani też nie cieszyłem się jakiemś szczególnem powodzeniem. Skromną też jest ta wiązka wspomnień. Piszę, jak czułem i widziałem, pragnąc, ażeby z pojedyńczych epizodów zestawił sobie czytelnik obraz przebiegu rykowiska wśród naszych kniei górskich.

Jako uzupełnienie tej praktycznej części, dodaję poniżej parę teoretycznych uwag i spostrzeżeń, tyczących się łowów jelenich i natury i właściwości tego wspaniałego zwierza, jakie w mojej włóczędze po kniejach zebrać mi się udało.

Jeleń, ten zwierz królewski, ta ozdoba kniej naszych i zwierzostanu, był zawsze i wszędzie stawianym w łowiectwie na pierwszem miejscu; był zawsze celem usiłowań i najbardziej upragnioną zdobyczą łowców wszystkich krajów i czasów.

Ani brodaty żubr, ani łoś rosochaty, nie cieszyły się tą wziętością, ani tą popularnością, jakiej w łowieckiem piśmiennictwie używa jeleń.

Nie tomy, ale biblioteki całe spisano w tym przedmiocie. Myśliwi, zoologowie, poeci wszystkich narodów nieśli mu w należnym hołdzie swą uwagę i pióra.

I trudno dziwić się temu, gdyż ani ociężały żubr, ani tem mniej potwornych kształtów łoś, nie mogły działać na oko i wyobraźnię myśliwego lub badacza tak porywająco, jak przepysznym wieńcem ukoronowany jeleń, to najbardziej harmonijne połączenie wdzięku, sprytu i siły.

Trudno by było mnie profanowi, dodać coś jeszcze do tak omówionego, choć nie wyczerpanego przedmiotu; nie piszę więc tu monografi jelenia, lecz dzielę się tylko z łaskawym Czytelnikiem własnemi spostrzeżeniami, jakie w zetknięciu z naszym karpackim jeleniem zebrałem.

Jeleń, o ile go poznałem, a widziałem go w różnych okolicach Beskidu, przedstawił mi się wszędzie, jako zwierz o bardzo rozwiniętej inteligencyi, jako zwierz bardzo ostrożny i właściwie oceniający położenie, ale jako zwierz zupełnie nie płochy. Widzimy n. p. jelenie pasące się nieraz i ryczące nawet w bezpośredniej bliskości bydła, prawie pomiędzy niem, wobec hałasujących pastuszków, widzimy je dewastujące nocą ziemiopłody pomimo rozniecionych ognisk i wrzawy wartowników. Widziałem sam stado jeleni w niewielkich miotach, w których z armatnim hukiem waliły się drzewa pod siekierą rębaczy, widziałem je, jak z niewielkiej odległości, najspokojnej przypatrywały się hałaśliwej robocie gonciarzy i drwali.

(C. d. n.)

Polowanie w Siedmiogrodzie.

Lat temu pięć polowałem po raz pierwszy w Siedmiogrodzie w okolicach Kronsztadu z psami na niedźwiedzie a potem podchodziłem kozice w skałach Fogaraksu. Nie bardzo bogate wynikiem były moje ówczesne łowy lecz miałem to wrażenie, że gdyby kto mógł z terenem się poznać i miejscowe stosunki myśliwskie zbadać, osiągnąłby ładne rezultaty.

Dopiero w tym roku mogłem tę myśl w życie wprowadzić. Posłałem najprzód strzelca, aby się przed moim przyjazdem trochę rozpatrzył a potem byłem już dwa razy po parę tygodni.

Wielkich wyników jeszcze wprawdzie nie mam do zanotowania, ale zato poznałem dobrze tę część Siedmiogrodu, która się ciągnie do Kronstadtu w kierunku południowo zachodnim wzdłuż granicy rumuńskiej. A że strony tamtejsze są jeszcze dla większej części naszych myśliwych krainą baśni, więc pospieszam parę słów donieść o kraju i zwierzynie. Może one kogo zachęcą do spróbowania szczęścia w tamtych stronach, lecz może i niejednego powstrzymają od marnowania czasu i pieniędzy.

Owóż część ta Siedmiogrodu położona między Kronsztadtem a Orsową, dzieli się na dwie osobne grupy. Granicę stanowi rzeka Cibin. Począwszy od Kronsztadu do Cibinu ciągnie się pasmo gór Fogaraks.

Wysokość szczytów dochodzi do około 2.300 m., wysokość grzbietu wynosi około 1.800 m. Między właściwymi wirchami a doliną ciągnie się pasmo przedgórzy dochodzących do 1000 m. wysokości, porosłych lasami szpilkowymi o gruncie albo czerwono-gliniastym albo skalistym. Wogóle ziemia tam znacznie gorsza niż u nas w Karpatach. Widziałem zręby na tej czerwonej glinie już szósty rok odłogiem stojące bez źdźbła trawy. Jestto wielki zawód dla myśliwego, co widząc zdala piękny rozległy zrąb myśli o jeleniach, co się na nim będą pasły.

Na wysokości około 1000 m. opadają przedgórza w kierunku gór i w ten sposób powstaje siodło, nie tyle głębokie, co bardzo szerokie, porosłe owczą trawą, zarzucone grupami skał i kamieni.

Połoniny te są pastwiskiem dla owiec, a częścią i wołów, od połowy maja, do pierwszych dni września. Pastuchy, których tam Czabanami zwą, wyłącznie są Rumunami. Ich koleby czyli stiny są wyłącznem schroniskiem myśliwego. Dopiero ponad temi połoninami poczynają się skały. Początkowo przegradzane pasmami połonin, do których owce jeszcze dochodzą, piętrzą się potem w turnie i zbocza, wyłącznie skaliste, bardzo pionowe. Na samych przełęczach tylko trawa a z nią i owce dochodzą do szczytu.

Na podgórzu w lasach między skałami jest jeszcze znaczna ilość niedźwiedzi i wilków, dzików prawie, że niema, jeleni ani śladu. W skałach ponad halami są kozice.

Pomówmy naprzód o niedźwiedziach. Że one są, przekonałem się widząc dużo ich tropów nieraz całkiem świeżych. Prócz tego jeden pan w Hermansztadzie, o którym później będę mówił, wyliczył mi dwadzieścia niedźwiedzi, które w tym roku padły, mówiąc kto, gdzie i jak je zabił. A przypuszczać należy, że o wszystkich upolowanych miśkach przecież nie wie. Chodzi więc teraz o to, jak mu się do skóry dobrać. Na to trzeba znać ich sposób życia. Naturalnie nikt nie jest w stanie powiedzieć, co one cały rok porabiają, ale mniej więcej są pewne pory, w których się to daje przewidzieć. Otóż w czerwcu i w lipcu a głównie w lipcu trzymają się one stad na połoninach stojących. Jeżeli niedźwiedź do owiec się podbiera, to mimo ujadania psów i wrzasku czabanów wpada co noc lub też co drugą noc w zagrodę i porywa owcę. Jeżeli się chce przy owcach szczęścia spróbować, trzeba się naprzód postarać, aby mógł tylko tę trzodę odwiedzić, której się pilnuje. W tym celu spędza się na parę nocy wszystkie okoliczne stada do jednej zagrody, lub też nawet część owiec odpędza się na dół do wsi. W nocy siedzą czabani a z nimi i myśliwy, przed stiną w około ogniska, gdzie gotują mamałygę, psy biegają w koło zagrody ujadając bez przestanku, owce beczą, w ogóle obrazek przedstawia się malowniczo ale nie bardzo zachwycająco dla myśliwego. Nagle owce poczynają się tłoczyć w jeden kąt, psy wskakują do środka zagrody, wyją i szczekają, czabani wrzeszczą, jednem słowem robi się piekielny harmider. To niedźwiedź przyszedł po swoją daninę. Wtedy trzeba zabiedz od strony, z której przyszedł i może się udać strzał albo wśród stada jeszcze, lub też kiedy z owcą w pysku przez most przeskakuje. Naturalnie nie zawsze on pierwszej nocy przyjdzie, nie zawsze strzał trafi, a nawet nie zawsze się go uda zobaczyć.

Z początku sposób ten polowania wydał mi się opowiastką chłopów, której nie bardzo mi się wierzyć chciało. Z czasem przekonałem się, że sprawa inaczej stoi. W ten sposób zabił kapitan Spiess już trzy niedźwiedzie, z tego dwa tej samej nocy. Jednego z tych niedźwiedzi ujrzał w środku trzody, przeskoczył tedy przez ogrodzenie, przyszedł na pięć kroków do niedźwiedzia, który już na miejscu do owcy się zabierał i zabił go szczęśliwym strzałem. Tego roku niejaki pan Humpolmeier z Monachium oczekiwał również niedźwiedzia przy owcach. Zaraz z wieczora wskoczył niedźwiedź do zagrody, jednak psy i czabani go odpędzili, p. H. zaś w porę nie nadążył.

Nie spodziewając się powtórnych odwiedzin tej samej nocy, położył się p. H. i zasnął. Nie upłynęła godzina a niedźwiedź znów już był w zagrodzie i porwał

owcę i nim myśliwy zdołał za strzelbę chwycić, uszedł ze swą zdobyczą. Naturalnie, że choć się do strzału przyjdzie, mała jest nadzieja, by go na miejscu położyć, dopiero zwykle na przyszły dzień trzeba szukać postrzałka i dla tego ogromnie ważną rzeczą jest mieć psa idącego za tropem niedźwiedzia.

Znacznie łatwiej zabić niedźwiedzia, który w wołach zasmakował. Kiedy owcę głodny misio połyka jak ostrygę i pewnie za drugą się ogląda, wołu przecież nie daje rady lecz zwykle w drugą lub trzecią noc powraca, by go dokończyć.

Po porwaniu wołu, trzeba więc wyszukać miejsce, gdzie go zawlókł i tam hochstand postawić. Mówię, że hochstand powinien być najmniej 4 m. wysoko, by niedźwiedź nie mógł myśliwego zwietrzyć. Natomiast może być bardzo blisko wołu, choćby nad samem ścierwem. Ponieważ woły siedmiogrodzkie są siwe, widać przeto ciemnego niedźwiedzia nawet w nocy bezksiężycowej dobrze od jasnego tła się odbijającego i strzał ma być dosyć łatwy. Mówiłem tego roku z kilkoma myśliwymi, którzy w ten sposób niedźwiedzia ubili, uważają to stosunkowo za najłatwiejszy sposób. Mówią też, że tylko największe niedźwiedzie rzucają się na woły. Kapitan Spiess zabił tego roku również niedźwiedzia na wole, ale dopiero dziewiątej nocy. Siedząc ósmą noc na hochstandzie słyszał jak niedźwiedź na sto kroków od niego, drugiego wołu ubił i dopiero nad tą drugą zdobyczą dziewiątej nocy go ubił.

Popołudniu widział go dwa razy, jak koło ścierwa krążył, ale za ciemno było, by strzał zaryzykować.

W sierpniu, kiedy jagody dojrzewają, idą niedźwiedzie wysoko w góry pod same skały i siadają w kosodrzewinach. Tam polować na nie nie można, chyba wypadkiem by spotkał żerującego. Dopiero w połowie października ściągają się ku dołom, lecz idą wyłącznie tam, gdzie bukiew i żołądź obrodziła. Wtedy można bardzo łatwo przyjść do strzału.

Lat temu cztery w rewirze Freg, padło w trzech czy w czterech dniach 7 niedźwiedzi. Tego roku po stronie rumuńskiej w dwóch dniach strzelano do 11 niedźwiedzi.

W tych stronach zato gdzie żeru nie mają w jesieni, ani tropu niedźwiedzia nie ujrzy. W okolicach Hermansztadu już od czterech lat bukiew i żołądź obfito nie obrodziły. Widać z tego, że choć to gratka dla myśliwego dobra, nie co roku się zdarza.

Prócz tego polują tu czasem z psami niby na niedźwiedzie. Powiadam „niby“ dlatego, bo faktycznie jest polowanie niby na niedźwiedzie, a kończy się na rogaczu lub zającu.

Psy dosyć dobre, gończaki, ale gonią wszystko i na tropie głosem idą. Jeżeli więc nawet przypadkiem na świeży trop niedźwiedzia trafią, to niedźwiedź z daleka już rusza i chyłkiem się wynosi. Jak mu zaś drogę zabiedz, tego chyba nikt nie wie, bo tylko w dalekich odstępach od siebie prowadzi z każdej wsi jedna droga, a raczej jeden szlak ku górze, kędy owce pędzą, a na poprzek to nawet i ścieżyny niema.

Gdyby mieć tropowca, co tylko za dzikiem i niedźwiedziem idzie i głos tylko na oko daje, to możeby co można zrobić, jeżeli w ogóle niedźwiedź będzie przystawał przed psem, a myśliwy sobie nóg nie połamie.

Tego roku miałem ze sobą w górach dobrego tropowca ale nie mogłem szczęścia spróbować, bo nigdzie śladu niedźwiedzia nie było. Musiały już pociągnąć, gdzie bukiew obrodziła. W sierpniu widziałem dużo śladów, ale wtedy psa nie było.

W ogóle całe polowanie na niedźwiedzia robi mi wrażenie polowania przypadkowego, trzeba dlatego siedzieć w górach, wszędzie zaglądać, rozdać między czabanów dużo paczek tytoniu, aby prędko znać dawali, skoro tylko niedźwiedź się znęci, a na koniec mieć trochę szczęścia.

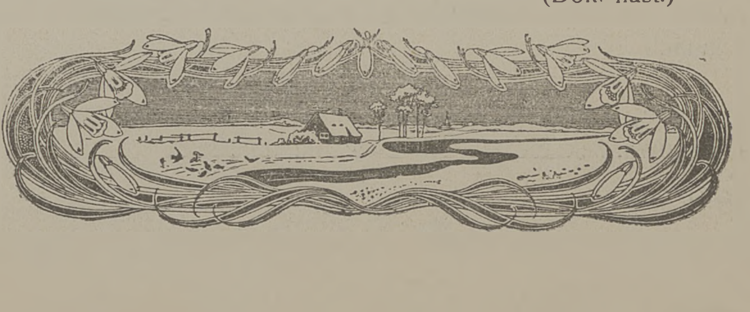
W skałach, ponad halami stoją kozice. Skoro bydło w górach, skupiają się one w miejscach dla owiec nieprzystępnych a częściowo na drugą stronę, gdzie znacznie większe są kompleksy skał i mniej bydła.

Po połowie września wszędzie je już spotkać można. Rankami widywałem je nawet na połoninach koło samych zagród, gdzie owce stały. O ile jeszcze śniegu niema, podchodzenie dla myśliwego obznajomionego z tym rodzajem polowania nie trudne. Skały nie łatwo się kruszą, więc drapać się można śmiało. Jedna rzecz tylko utrudnia bardzo i podchodzenie kozic i w ogóle każde polowanie w Siedmiogrodzie, to jest kompletny brak ścieżek i brak ludzi, którzyby jako tako góry znali. W lesie choć dużo czasu się traci, przecież jakoś człowiek przez łomy i wertepy przelezie, w skałach zaś trzeba parę dni poświęcić, by wyszukać przejścia na wierzchy, przyczem naturalnie popłoszy się kozice na parę następnych dni. W ogóle prócz pojedynczych ścian, jakie się wszędzie trafiają, miejsc niedostępnych niema, prócz jednego znanego w tamtych okolicach lejka w rewirze Skorca. Byłem sam nad nim i mam to przekonanie, że po skałach nie zejdzie, chyba by się na sznurach spuścił. Na dnie widać kilka szkieletów owiec i kozic (może postrzelonych), które się widocznie wydostać stamtąd nie mogły, albo schodząc w dół spadły. Słyszałem od kilku myśliwych, że sępy i orły skalne zawsze krążą koło tego miejsca i gdy się padlinę wyłoży, można na trzeci lub czwarty dzień parę sępów lub orłów zastrzelić.

Inaczej całkiem przedstawia się chodzenie po śniegu. W ogóle we wszystkich górach trudne, tu staje się, niemożliwem wskutek braku ścieżek i kompletnej nieznajomości terenu. Chcąc kozice podchodzić, trzeba przed pierwszym brzaskiem już być na szczycie ponad niemi. Skoro śniegu niema, to przejrzawszy za dnia, którędy się dostać można ku górze, przecież jakoś z pomocą latarki można się przedostać. Na śniegu do 100 kroków już po ciemku się zabłąka i nie pozostaje nic innego, jak po świeżym tropie do koleby wrócić. Można więc tylko za dnia kozice z dołu podchodzić, co jest rzeczą bardzo niepewną.

Na ostatku muszę jeszcze nadmienić o rzeczy, której nie widziałem sam, lecz tylko słyszałem. Mianowicie jest kilka miejsc, gdzie grzbiet górski znacznie się zniża tak, że powstaje kotlina aż do samego wierzchu, zarosła kosodrzewiną i karłowatemi jodłami. Otóż w tych gąszczach mają być kozice, które na gołe skały nigdy nie wychodzą. Poluje się na nie z psami. Myśliwi utrzymują, że mają rożki wyższe ale cieńsze niż kozice w turniach żyjące. Przyznam się, że to ostatnie spostrzeżenie nie wydaje mi się prawdopodobnem.

(Dok. nast.)



Wystawa rogów w Berlinie.

Zakończona co dopiero w Berlinie XIII wystawa rogów z roku 1906, była bogatszą, jak dawniejsze. Świadczy to dosadnie o podnoszeniu się w Niemczech zwierzostanu i o pomnażaniu się i udoskonalaniu sportu myśliwskiego. Koron jeleni były setki, do 117 z nich pochodziło z zwierzyńców i z lasów oparkanionych, przeważnie królewskich, a w części magnackich.

Nagród udzielono:

I. za rogi jelenie: puharów cesarskich 2, godeł (Schild) 14, (w tych 2 za jelenie z gór), medali I. klasy 61, medali II. 38.

II. za szufle danieli: godeł 4, medali I. klasy 7, medali II. 6.

III. za różki kozic (gemz): godeł 3, medali I. klasy 3, medali II. 8.

IV. za rogi (parostki) sarnie: godeł 12, medali I. klasy 84, medali II. 47.

V. za łosie: medal I. klasy 1, medali II. 2.

Ogółem 291 odznaczeń, lecz sztuk odznaczonych było więcej, bo niektórzy z Nimrodów popisywali się całemi kolekcyami rogów, a za nie tylko pojedyńcze odebrali nagrody.

Pierwszej nagrody, puharu cesarskiego, za rogi jelenie, nie odebrał, rzecz niezwykła, w r. b. cesarz niemiecki, który jej swemu wasalowi, księciu Pless, odstąpić musiał, kontentując się tylko drugim puharem cesarskim. Pierwszy jeleń był tylko 16 końcowym, ale majestatyczną miał koronę, drugi był 22 końcowym, ale korona była słaba i licha.

Z 14 godeł za rogi jelenie przypadło 10 na zdobyte w miejscach oparkanionych.

Z Polaków odznaczono tu tylko medalem II. p. Stanisława Gładyszę za upolowanego, dnia 16. października 1906 r., w lasach konarzewskich, Księżnej Czartoryskiej, ośmnastaka.

Jeleni w ogóle bardzo mało nadesłano z Poznańskiego, ale zato rogów sarnich bardzo wiele. Pierwszą, naczelną nagrodę, godło, zdobył tu p. Franciszek Michalski, właściciel Kępy III za 28 cm. wysokie rogi szóstaka. Pan M. podobno jest kolonizatorem. Jeśli nieprawda, chętnie pomyłkę sprostuję. Że. p. M. chce te rogi sprzedać, nie dziwię się. Medal I. przyznano p. Ignacemu hr. Mielżyńskiemu na Iwnie i p. Tomaszewskiemu, właścicielowi rewiru (? Rojowca), a medal II. p. Ostrorogowi-Gorzeńskiemu na Torcach za szóstaka, na dobrach wróblewskich upolowanego i p. Schmidt-Wierusz-Kowalskiemu z Moschutz (?).

Nie wielu więc Polaków uzyskało odznaczenie, ale też nie wielu wysyła swe trofea myśliwskie na wystawę do Berlina. Jednym Berlin nie jest sympatycznym, a przecież nie może nam Polakom być sympatycznym; inni, niemieckich gazet łowieckich nie czytając, nie wiedzą wcale o wystawach łowieckich; inni strzelają rogacze, kiedy są drogie, inni wreszcie, twierdzą złośliwie, że zbieracze rogów skalpują zwierzynę jak kiedyś Indyanie ludzi skalpowali. Indyanie wieszali skalpy u pasa, a myśliwi wieszają je na ścianach.

W każdym przecież razie i rogi mają większą, lub mniejszą, stósownie do ich budowy i wielkości, wartość finansową, lekceważyć ich więc nie należy.

Korespondencye.

Dnia 28. stycznia odbyło się doroczne polowanie w Ostrożcu majątku p. Ferdynanda Gużkowskiego, na którem w 5 strzelb ubito 22 zajęcy, 2 rogacze i 1 lisa.

Zważywszy, że wskutek braku myśliwych, którzy nie dopisali — mioty zupełnie prawie obstawione nie były — rezultat ten jako dodatni uważać należy. Królem polowania był sam gospodarz, strzelając rzadko, ale zawsze celnie.

Dla tego rewiru uzyskał niedawno właściciel pozwolenie odstrzelenia pewnej ilości siut, z którego widząc jak zwierzostan wskutek ostatnich ciężkich zmian atmosferycznych ucierpiał — nawet korzystać nie zamierza.

Pozwolenie to uzyskane nie bez trudności, dało powód do szerokich dyskusyi w kołach myśliwskich.

Rezultat tego polowania w tak małą ilość strzelb, a bardziej jeszcze znaczna ilość zwierzyny, widziana przez polujących w tymże rewirze świadczy bądź co bądź o obfitym zwierzostanie, któremu nasz tak gościnny gospodarz i nadal przebaczy, jeżeli sobie po łanach rzepaku i bujnych prześlicznych oziminach zanadto pohula.

Delegat ziemi Mościskiej.

Myślenice 29. stycznia 1907.

W górach naszych, pola, łąki i lasy przestały tworzyć jednolitą całość, w której zwierz swobodnie kryć się mógł. Przy lasach i wśród pól wzniesione są bowiem budynki włościańskie a zwierz wszelki jest w ciągłej obserwacyi chłopa.

Śledzi go chciwie z chałupy, a z czasem zbudziła się w nim chętka nieuleczalna tępienia go. Młodzi i starzy zastawiają na niego druty, by w ten sposób ułowionym zaopatrywać miasteczka i handle krakowskie.

Stan zwierzyny w okręgu jest więc marnym i nieobfitym, a polowania, na których pada 20 zajęcy, liczą już do dobrych.

Polowałem w rozmaitych stronach powiatu a zawsze słyszy się w koło jedno i to samo: „nie pojmuję jak z takich ładnych krzaków, jednego tylko zająca nagonka wypędza“! Myśliwych ogarnia zniechęcenie, przechodzi chętka do polówki i mija postanowienie do zaprowadzenia racyonalnego gospodarstwa. To samo jest w większych majątkach, co mniejszych.

Minęły nam czasy, gdy róg się odbijał po drzewach, gałęziach i załomach, a pieski jednego po drugim goniły szaraka, sarnę lub dzika. Dziś gdy ogary ruszą, słyszy się za chwilę wycie i zawodzenie i wyjaśnienie: pies wpadł w drut, trzeba go ratować!

Sezon obecny liczymy do gorszych. Kuropatwy i zające, oprócz szkodnika człowieka wytępiły nam deszcze wiosenne. Stan sarn jako tako się podniósł, bo sarnę chwycić w drut trudniej, jako trzymającą się lasów dworskich.

Ujemną stronę rozjaśniło mi polowanie z 28. stycznia w lasach drogińskich pana Kazimierza Bzowskiego. Unikatem knieją jego nazwać można w górskich okolicach. Padło 40 zajęcy, 3 rogacze, i lisiura. Nie szczędzą tam też czasu i trudu, aby się dochować ładnego zwierzostanu. Widzi się obfitość tropów zająca, sarn i bażanta. Przedewszystkiem utrudnia się zastawianie drutów i podają karmę. Żal że trafiliśmy na niefortunny dzień. Zwierz liczny uciekał poza nagonkę, co strzelanie czyniło niemożliwem. Na rozkładzie przeto mniej jej było niż w inne lata.

E. Adelmann
delegat.

Putiatyńce 1. lutego 1906.

Mało jest kniei, dających dla myśliwego smakosza tak dużo wrażeń i miłych reminiscencyi łowieckich i estetycznych, jak w Putiatyńcach.

Nie mówię tu o smakoszach podniebienia, którzy, nawiasem mówiąc, w tym wypadku także zostali uwzględnieni przez sztukę kulinarną gościnnego domu, lecz chciałbym o ile nieudolność opisu mego pozwoli, w całej pełni przedstawić przeżyty ze szczerą rozkoszą dzień myśliwego.

26. stycznia. Dzień jakby zamówiony. Jedziemy w 11 strzelb do lasu położonego tak blisko dworu, że prawie parkiem można go nazwać.

Poważny starodrzew, spokojnie i imponująco rysujący się na tle niebieskawego śniegu, rozciąga się dużą płachtą na terenie falistym. Już z drogi dostrzegają myśliwi snujące się po lesie sarenki i różnie wróżą i przepowiadają.

Lekki mróz bez wiatru i cisza taka w lesie, jak bywa w duszy po spełnieniu dobrego czynu.

Mimowoli marzenie ogarnia stojącego w skupieniu, pośród otaczających cudów zimowej przyrody myśliwca; ale marzyć nie wolno — trzeba uważać, bo oto na flance już padają gęste strzały i jak echo zaczynają z różnych stron odzywać się krótkie i dźwięczne, to znowu przeciągłe, i jakby przygłuszone coraz nowe salwy. To zajączki idą na śmierć, jako pierwsza szarża.

Wtem cudowny widok — kilkadziesiąt głów sarnich wychyla się z głębi miotu i w płochliwym biegu zbliża się do linii strzelców. Marzenia pierzchły — myśliwy oblicza rogacze i szanse trafnego strzału. Za tym rulonem podążają partye mniejsze, a zabawne są siuty, jakby pewne swej nietykalności, dające lekcye przezorności i odwagi nie zawsze wiernym swoim małżonkom. Nadsłuchują i posuwają się ostrożnie, nie tracąc ani na chwilkę wdzięku; a wreszcie odważnie pędzą wprost na myśliwych. W każdym miocie widziane były prawie przez wszystkich uczestników mniejsze i większe rulony sarn, to też rozanimowaniu i opowiadaniom nie było końca, a znalazło się też parę sumień obarczonych pudłem do rogacza, które zwykle popełnia się — jak twierdzą myśliwi — nie z powodu złego strzału, lecz z powodu przeróżnych łagodzących okoliczności. Niestety, do tych paru zaliczam i moje, ale zapomnijmy o tej przykrej reminiscencyi.

Wieczorem na rozkładzie znaleziono 11 rogaczy i 60 zajęcy. Strzałów padło około 200.

Dużo zwierzyny wracało na nagonkę i szło flankami, których nie dało się obstawić.

Ogólnie stwierdzają myśliwi w naszej okolicy zniknięcie lisów, w Putiatyńcach też nie widziano zupełnie tego szkodnika. Może urzeczywistnią się marzenia o bażantach, które tak wdzięcznie zdobią rozkład.

J. A. B.

Rosianówka, 1. lutego 1907.

Już trąbki w lasach ucichły, polowania minęły, w Łowcu jednak niestety mało o tem. A szkoda! Bo jak Zagłoba mówił: „Prawdziwa zasługa mając przyrodzenie oleju powinna na wierzch wypłynąć, aby nie zostawała bez nagrody, a potomnym zachęty do naśladowania cnych przykładów dodała“. Ja też właśnie chcę wspomnieć tu o dwóch takich polowaniach, które stwierdziły, do jakiego stopnia można podnieść stan zwierzyny, jeśli kto o to się troszczy i nad tem pracuje. Miałbym ochotę dalej o tem pisać i wyciągać odpowiednie wnioski i sentencye zacne, ale zakonotowałem sobie, że Łowiec już raz stanowczo sobie zastrzegł, aby wszelkie wzmianki o przyjęciach, prowadzeniu wybornem polowania, o naszej polskiej gościnności i t. d. zostały wykluczone z sprawozdań, więc podam tylko zwięzłe relacye, które niech same ze siebie mówią. A więc zaprosił nas dziesięciu p. Władysław Jankowski do Rosochowaćca na 11-tego stycznia na spacer myśliwski do dwustumorgowego lasku. Efektus tego spaceru: 11 rogaczy i 125 zajęcy.

W Cześnikach u pp. Fr. Milińskich polowaliśmy 16-tego i 17-tego stycznia. Padło: 3 jarząbki, 5 rogaczy i 140 zajęcy. Tutaj już nie mogę zamilczeć, że mogło paść drugie tyle, ale niestety obydwa dni to deszcz, to zawierucha, jednem słowem taka pluta, że trudno było na stanowisku wystać. W lesie dla nagonki bardzo trudny i tak teren, a do tego ogromne śniegi. Nagonki więc było bardzo mało, bo wypadało po dwóch na jednego myśliwego, a i ci pomimo najlepszych chęci nie wychodzili tak, jakby potrzeba było, masa zwierzyny przeto wracała. Mam jednak nadzieję, że na drugi rok powetujemy to sobie.

Adam Maniewski.
Delegat tarnopolski.

Gorajowice 1. lutego 1907.

Sezon polowań zimowych w naszej okolicy już się ukończył, wobec czego pospieszam podzielić się z czytelnikami „Łowca“ wynikami odbytych polowań w naszej okolicy, w których jużto osobiście brałem udział, jużto wiadomości o nich zaczerpnąłem od innych uczestników.

2. października w Moderówce i Dobrucowej u pana J. Gorayskiego w 3 strzelby padło 15 zajęcy, 2 kuropatwy i 2 lisy.

13. października w Kluczowej u pana Dutkiewicza przy gończakach zabito w dwie strzelby 2 zające.

18. października w Świerchowie, dzierżawcy polowania panowie Macudziński i Ska, przy gończakach zabili w 5 strzelb, 5 zajęcy, 1 kunę leśną (tumaka).

27. października w Gliniku polskim, dzierżawcy polowania panowie Macudziński i Ska zabili w 5 strzelb, 9 zajęcy, 1 kuropatwę, 1 dziką kaczkę i 2 lisy.

26. listopada w Trzcinicy u pana St. Włodka padło w 5 strzelb 19 zajęcy.

28. listopada w Niepli u p. J. Gorayskiego w 4 strzelby, padło 8 zajęcy, 3 lisy.

12. grudnia w Krajowicach u pana K. Macudzińskiego padło w 10 strzelb, 1 rogacz, 16 zajęcy. W rewirze tym zastrzelono w lecie na podchodnego 10 rogaczy.

20. grudnia w Łubnie u pana J. Przyłęckiego w 6 strzelb zabito 16 zajęcy.

24. grudnia w Ulaszowicach i Kowalowach u pana T. Sroczyńskiego w 8 strzelb, padło 10 zajęcy i 1 lis.

7. stycznia w Brzyszczkach u pana T. Sroczyńskiego padło w 12 strzelb 33 zajęcy i lis.

8. stycznia w Woli dembowieckiej u W. Stawiarskiego padło w 9 strzelb, 23 zajęcy.

12. stycznia w Dembowcu, u dzierżawcy polowania panowie Macudziński i Ska. w 3 strzelby, padło 18 zajęcy.

18. stycznia w Niepli u pana J. Gorayskiego padło w 5 strzelb, 27 zajęcy i 2 lisy.

21. stycznia we Wrocance u pana Grabczyńskiego w 7 strzelb, padło 10 zajęcy.

25. stycznia w Warzycach u p. Gorayskiego w 7 strzelb, padło 12 zajęcy i 2 lisy.

31. stycznia w Lublicy u pana W. Wiszniewskiego padło w 5 strzelb, 6 zajęcy.

Rezultaty wcale nie świetne. Widocznie słusznie jeden z poważniejszych starszych myśliwych tutejszych twierdzi, iż okolica nasza jest przeklętą przez św. Huberta.

Wielu właścicieli i dzierżawców polowań, prócz samego wykonywania polowania, nic rzeczywiście dla podniesienia zwierzostanu nie robi; lecz jest i wielu takich, którzy mimo iż zwierzynę szanują, dbają o jej rozmnożenie, nie mogą doczekać się odpowiednich swoim zabiegom rezultatów.

Rok przyszły gorsze jeszcze wróży nadzieje. Podgórska okolica nasza zasypana głębokimi śniegami tak, że kuropatwy, zające i sarny prawdopodobnie zupełnie wyginą, a pozostałe, którym może uda się wyjść cało z tej klęski głodowej, będą tak osłabione, że i nie bardzo zechcą przyczyniać się do rozmnoży.

Wobec tego więc nie powinniśmy w przyszłym sezonie zupełnie polować, a który z pp. właścicieli lub dzierżawców polowań ma możność po temu, powinien z wiosną sprowadzić celem rozmnoży tak kuropatw jak zajęcy.

Muszę jeszcze wspomnieć o polowaniu w polach u pana T. Sroczyńskiego w Rzędzianowicach w Mieleckiem (padło 56 zajęcy). Jeden z myśliwych używał na tem polowaniu automatycznej, 5 strzałowej śrutówki Browninga. Śliczny to wprawdzie efekt robi taka sikawka, jak się nie zatknie, pięć razy bez przerwy raz po razu, a zając idzie zdrów co raz lepiej w obawie, by jeszcze szósty raz nie sikneło. Lecz w praktykach widocznie nie nadzwyczajna, bo sam właściciel tej automatycznej maszyny, zabiwszy z niej na tem polowaniu 9 zajęcy przyznał, że ze swej starej dubeltówki byłby zabił najmniej 18 zajęcy. Pięć razy w ciągu tego polowania miał t. zw. po niemiecku „Ladestörung“, co zwłaszcza przy 21 stopniach R poniżej zera i wiaterku północnym, przy których to warunkach polowaliśmy wówczas, nie jest wcale przyjemne; gdyż trzeba przy takiem „Ladestörung“ scyzorykiem lub t. p. narzędziem z parzącem od mrozu żelazem manipulować, a zające tymczasem polecają się dalszej łaskawej pamięci właściciela znarowionej sikawki.

Władysław Biesiadecki
delegat jasielski.

Żółkiew, dnia 30. stycznia 1907.

Po długiej niepewności i nerwy naszych myśliwych pow. żółkiewskiego, drażniącem wyczekiwaniu, czy będzie, czy nie będzie, — nareszcie jakby na desert sezonu, urządził dnia 30. stycznia b. r. pan Jan Müller, właściciel dóbr Błyszczywody wspaniałe polowanie. A że wspaniałe, to każdy myśliwy przyznać musi, gdy w lesie około 400 morgowym, zabawiało się przez dzień cały 25 nimrodów, mając 50 ludzi do nagonki, dając 207 strzałów i spałaszowując kocieł przecudnego bigosu i całą furę piwa — wina i innych znakomitych smakołyków.

Zwierzyny była moc wielka, a emocya zachwycająca, — gdyż prawie w każdym miocie, dawały się słyszeć głosy z nagonki: pylnuj, dyk! dyk! — lancastrówki się łamały i trzęsącą się ręką, zmieniano czwórki na kule Brenneckiego, — zającom świstały kule ponad słuchami, a dzikom czwórki parę kropli krwi opuściły, gdyż każdy dzik po strzale farbował. Lecz były też i cudne epizody, z pięciu sztuk z sarniej rodziny, położył z dubeltówki młody nimrod 2 kozły, — a w czwartym miocie, trzech starych gołąbków nimrodowych, miało przed sobą na jakich 60 kroków, 5 dużych dzików, znajdujących się, widocznie w największej kolizyi, gdyż tupając nogami, stały chwil kilka przed nimi i dopiero po zawczesnym strzale, jednego z nich, ruszyły na wszystkie strony świata. Zdarzyło się też, jak to zwykle bywa, iż dublowano z nie nabitej strzelby, lecz o tem tylko najbliżsi sąsiedzi wiedzieli i temu radzi byli. Lecz żarty na bok, — piękne było to polowanie, i nawet sam kochany nasz gospodarz był zadowolonym, gdyż aby zdarzenia uwiecznić, sprowadził z Żółkwi najznakomitszego fotografa — ugrupował nas przy zabitej zwierzynie i zaprosił tak znakomitych nimrodów na rok przyszły. Na fotografii prócz 25 myśliwych i 50 nagonki, żywych i zdrowych, znachodzi się jeszcze 77 sztuk zabitych zajęcy, 5 kozłów, 2 lisów i 1 dzik; — czyż nie znakomity rezultat?

St. Sn.

Łukawica, 31. stycznia 1907.

Może zainteresuje czytelników „Łowca“ fakt, świadczący wymownie o żarłoczności wilków, który wydarzył się przed kilku dniami w majątku mojej matki, Rozhurczu.

Ciężka tegoroczna zima, sprowadziła wilki szukające żeru aż do podnóża Karpat, na czem niestety nasze zwierzostany bardzo ucierpieć muszą. Zaledwie o 6 metrów od rozhurczańskiego dworu, położonego tuż pod lasem, stoi rek, na którym syn mój w lecie gimnastykuje się. W zimie zawiesza się nieraz na tym reku ubitą zwierzynę, a nawet mięso wołowe w worze płóciennym, by skruszało.

Dnia 24. stycznia był właśnie zawieszony na reku worek z kawałem wołoniny. Mróz dochodził 23 stopni R. Była właśnie 8 godzina rano, gdy matka moja zobaczyła przez okno wilka, który podskakiwał chcąc dostać się do mięsa, wiszącego o jakie $2^1/_2$ metra nad ziemią, na reku. W pierwszej chwili myślała matka, że to zgłodniały pies wiejski, lecz przypatrzywszy się bliżej, rozpoznała wilka. Wybiegł kucharz, stróż, dziewka kuchenna i na ich krzyk wilk spłoszony umknął.

Zdawałoby się, że na tem cała awantura z wilkiem skończyćby się powinna Tak jednak nie było; wilk jakkolwiek spłoszony, nie dał za wygrane w poszukiwaniu za żerem. O jakie 200 metrów od dworu stoją dwa obrogi z koniczyną, a w obu jest jeszcze na jeden metr wysoko koniczyny. Przy tej koniczynie stoją zawsze sarny i dla wygody wyskakują nawet na koniczynę, gdzie im pod dachem obrogu i cieplej i wygodniej pożywić się. Otóż spłoszony głodny wilk natknął się na ten obróg, zoczył tam sarnę, wskoczył za nią do obrogu i gnał ją następnie jakie 50 kroków i dopiero na wrzaski goniącej za nim służby dał za wygrane i zwrócił do lasu. Po tropach skonstatowano, że to była bardzo stara sztuka.

W. B.

Germakówka, 4. lutego 1907.

W lasach Germakówka JWgo Dra Michała Hrabiego Baworowskiego odbyło się czterodniowe polowanie w 10 strzelb z rezultatem:

Rewir	Dzień	Kozły	Lisy	Zające	Razem	Strzałów
Horoszowa .	15/I	8	—	163	171	324
Skornia . .	16/I	3	—	386	389	764
Glinka . . .	17/I	2	1	331	334	690
Morawiniec .	18/I	14	1	258	273	818
Razem	—	27	2	1138	1167	2596

Stale najlepszy rewir „Morawiniec“, zawiódł oczekiwania, znających te knieje Myśliwych, — gdyż z powodu ogromnej zawieruchy śnieżnej zaledwie połowa z tego, co się spodziewano, znalazła się na rozkładzie.

Rezultaty z polowań w całej tutejszej okolicy bardzo ładne; co jednak mniej jakiemuś znacznemu polepszeniu się stanu zwierzyny, jak raczej znacznym śniegom i zawieruchom, które każdego zająca do lasu napędziły, przypisać należy.

Mynarski
delegat.

Kołomyja, 8. lutego 1907.

Dnia 26. stycznia odbyło się polowanie w Winogrodzie leśnym pod dzielnem kierownictwem właściciela, pana Stanisława Pinterhofera. Padło w 6 strzelb 2 lisy, 37 zajęcy, a 4 lisy, które zawsze niekorzystnie się pojawiały, zostały silnie postrzelone, tak że z pewnością już więcej zajączków chrupać nie będą.

Józef Łysakowski.

Kołomyja, 6. lutego 1907.

(Do notatki z Nowego miasta w Nr. 23 z 1906 r.).

1000 lisów! jestto rozkład jakiegoby niejeden Wiluś, mordujący w przymusowym przesmyku tysiące zwierza, — pozazdrościł, rozkład, któryby ze swego „Hochstandu“, choćby jak zwykle dzieci mordował, a za nagonkę używał pedagogów z Poznańskiego. Tu nie dość jest dobrze strzelać! trzeba być prawdziwym myśliwym, trzeba „myśleć“, żeby tego chytrego zwierza przechytrzyć. Są myśliwi, którym lis największą emocyę sprawia, i sam wolę strzał do lisa, niż do kozła. Widziałem dobrego myśliwego, który polował już wiele na grubego zwierza, a który postrzeliwszy lisa, pobiegł za nim w miot, żeby go dobić, i ucieszył się nim, jak dziecko, bo był to pierwszy jego lis! W obecnych czasach, gdzie już lisy są dobrze przetrzebione, rozkład ten, jak na jednego myśliwego, jest rzeczywiście nadzwyczajnym. Pozwolę więc sobie w swojem i w wielu myśliwych imieniu wyrazić szanownemu Jubilatowi nasz podziw i serdeczne gratulacye. Gratulujemy tego rozkładu, w jakikolwiek sposób by był zdobyty, byle nie na trutkę! Tyle jest rozmaitych sposobów polowania na lisa, a jestto temat tak wdzięczny, że wartoby „kroniczkę lisią“ ułożyć i bardzo bylibyśmy obowiązani panu Żurowskiemu, gdyby zechciał choć w krótkości sposoby te, i przygody ciekawsze, których pewnie sporo ma w zapasie, w Łowcu opisać. Proszę też wszystkich Panów myśliwych o łaskawy współudział a kroniczkę tę, która wzbogaciłaby naszą skromną literaturę łowiecką, poświęcić by należało szanownemu jubilatowi, jako niewątpliwie najdzielniejszemu pogromcy lisów. Po wstępie biograficznym należałoby zebrane dotychczas, lub później, w Łowcu przygody uporządkować według przymiotów zwierzęcia, jak węch, słuch, wzrok, przezorność, chytrość, spryt, żarłoczność etc. Jestem pewny, że wydanie takie każdy z myśliwych z chęcią kupi. Chcąc dorzucić cegiełkę do tego dzieła zaczynam od z t. j. od przygód, zostawiając a, b, c, szanownemu Panu Redaktorowi, który tak pięknie i wyczerpująco nasze zwierzęta opisuje.

1) Zima. — Przedemną gęstwina i kilka dobrze w śniegu udeptanych, wprost do mego stanowiska prowadzących ścieżek. Jedną z nich idzie wprost do mnie lis.

Po strzale lis pada, i widzę w wielkim śniegu ostatnie ruchy kity. Pod koniec miotu gąszczem przesuwa się cień drugiej lisiury na połeć, którego zabijam na drugiej ścieżce. Każę podnosić obydwa lisy. Niestety, pierwszego nie ma. Idę sam i przekonuję się, że był to ten sam lis, który wypocząwszy po kwadransie pozwolił się łaskawie dobić.

2. W linii miotu, wzdłuż drogi, ustawił mądry przedsiębiorca lasowy jednostajne około 100 kroków długie i wysokie łatry drzewa. Stoję na prawem skrzydle tego parkanu i widzę z daleka lisa dążącego powoli drożyną wprost na lewe skrzydło. Więc czemprędzej poza łatrami przebiegam na lewe skrzydło, i gdy już zdyszany dochodzę do tegoż, widzę, jak lis najspokojniej prawem skrzydłem, to jest mojem dawnem stanowiskiem przechodzi!

3) Obok mnie na stanowisku stoi miejscowy pedagog, myśliwy starej daty. Strzela za sobą 2 razy do zająca, i po chwili, gdy nabija swoją kapslową sagalasówkę, biegnie w miot tylny z krzykiem „a pójdziesz“. Po miocie opowiada nam, że lis zakradł się z tyłu i chciał mu zwędzić elegancką zdobycz, i dopiero po dzielnej reklamacyi profesora wypuścił ją z pyska.

4) Lato — południe. Jadę dresyną kolejową i w chwili, gdy wyjeżdżam na wysoki nasyp, słyszę po lewej krzyk i widzę babę goniącą za lisem, który z kurą w pysku wpada właśnie do długiego przepustu sklepionego podemną. Staję, wyjmuję rewolwer i w chwili, gdy lis wyskoczył po prawej z mostka, strzelam do niego 3 razy. O dziwo, po 3-cim strzale lis opuszcza trzepiącą się jeszcze kurę, a sam, jak zmykał tak zmyka. Baba ma do mnie pretensyę, że zastrzeliłem jej kurę! — o wdzięczności!

Józef Łysakowski.

O stosunkach łowieckich w Trembowelskim. Gdy przed kilku laty z nadchodzącą wiosną żegnałem okolice borów sosnowych, przenosząc się na Podole, mimowoli w myśli stanęły wspomnienia wspaniałych łowów w dobrach barona Hugona Wattmana w Krupcu i Niemstowie, bogata w stan sarn knieja hrabiów Gołuchowskich w Ostrowcu i stałe dziki w rewirze Babczyna, oddalonym o 3 kilometry od miasteczka powiatowego, własność Marszałka Jana Gnoińskiego.

Z tych wszystkich wyż wspomnionych, knieja Niemstowska przed 4 laty, roiła się od takiego mnóstwa sarn, że stojąc podczas polowania na stanowisku, pamiętam dobrze, strzelić do kozła nie mogłem, bo sarny wychodziły rudlami i strzelając do kozła można było ubić siutę, lub kilka sztuk, na strzał jeden.

To też chciwy wrażeń myśliwskich, a nie znając bliżej Podola, znalazłszy się w przedziale wagonu sam, marzyć zacząłem o dzikach, kozłach, dropiach, polowaniach z chartami i innych w tym guście przyjemnościach, za Tarnopolem zaś zacząłem się lepiej przyglądać okolicy i badać teren myśliwski.

Przywykłemu, do widoku lasów i kniei, przyjemnie się zrobiło i otucha wstąpiła w serce, gdy po przebyciu długiej przestrzeni bezleśnej, pociąg od stacyi Proszowa, przesuwać się zaczął wśród lasów.

Jak później poznałem, jest to główny kompleks lasów w tej okolicy i lasy strusowskie hrabiego Józefa Gołuchowskiego, przytykające do powyższych, lasy do Łoszniowa należące, fundacyi śp. hr. Wiktora Baworowskiego, lasy Ruźdwiańskie, własność p. Dr. Jakóba Somersteina i wreszcie lasy gminne m. Trembowli.

Drugi podobny kompleks lasów zaczyna się aż za miasteczkiem Janowem, a są to lasy Młyniskie i Kobyłowłockie, własność hrabiny Borkowskiej i lasy Budzanowskie, własność Pana hr. Marszałka Jerzego Baworowskiego.

Reszta lasów w Trembowelskiem, są to lasy mniejszych obszarów, przeważnie wśród pól położone, do wielkich remiz podobne.

Prym pod względem zwierzostanu wodzą między nimi lasy hr. ministra rezydenta Leopolda Koziebrodzkiego w Podhajczykach justynowych.

O gospodarce łowieckiej i zwierzostanie w dwóch wyż wymienionych kompleksach, przekonać się będzie można z sprawozdań o wyniku polowań, które później nadeślę, dla ślepszego obznajomienia czytelników dodam jednak, że w lasach strusowskich jest piękny stan sarn, w lasach Łoszniowa, również jest zwierzostan ładny.

W lasach Ruzdwiańskich możnaby do lepszego rezultatu polowania, jak w tym roku wypadł, łatwo doprowadzić, gdyby właściciel był myśliwym.

Zwierzostan w lasach gminnych trembowelskich trudno krytykować, polowanie w tych lasach od szeregu lat dzierżawią ludzie obcy, jedynie zarządca tych lasów, wytrawny leśnik i zapalony łowiec mógłby przy poparciu reprezentacyi gminy i dobrych chęciach wpłynąć na zmianę na lepsze.

Zwierzostanu w lasach Ruzdwiańskich i gminnych trembowelskich nie można porównywać do zwierzostanu w lasach kompleksu drugiego: lasów Młyniskich i Kobyłowłockich a tem mniej do zwierzostanu w lasach hrabiego Jerzego Baworowskiego.

W pierwszych z nich pełnomocnik myśliwy, w drugich sam właściciel otaczają zwierzynę wydatną opieką.

Przyjemnie zaprawdę poluje się w takiej kniei, jak budzanowska, gdzie na każdym kroku widzi się tę opiekę dla zwierzyny, tę pracę nieustanną około jej rozmnożenia!

Myśliwy.



Wpisali się w poczet Członków gal. Tow. łowieckiego:

1. Balko Roman.
2. Katz Maksymilian.
3. Kędzierski Zygmunt.
4. Kiełczewski Stanisław.
5. Klimowicz Franciszek.
6. Lachman Zygmunt.
7. Micewski Włodzimierz.
8. Ossowski Edward.
9. Promiński Tadeusz.
10. Różański Stanisław.
11. Suszycki Józef Dr.
12. Szepczyński Jędrzej.
13. Towarzystwo łowieckie Brzozów.
14. Trybulec Roman.
15. Ujejski Adam.
16. Wolski Zdzisław.
17. Zakrzewski Juliusz.
18. Żeleński St. Gabryel.
19. Żydaczowskie Tow. myśliwskie.

Pytania i odpowiedzi.

Pytanie 1.

Jakie rozmiary powinny mieć płotki do łowienia kuropatw. Może ktoś z Czytelników „Łowca“ ma rysunek. Czy biała nić w siatce nie odstrasza ptactwa?

Odpowiedź 1.

Do łowienia kuropatw na ziemi przez napędzanie używa się płotków z sieci 35 do 40 ctm. wysokich a 30 do 45 metrów długich. Kolor sieci powinien być orzechowy. Dokładny opis sposobu łowienia kuropatw, oraz przyrządów do tego potrzebnych, znajduje się w znakomitem dziełku p. Wiktora Stephana p. t. „Kuropatwa“ wydanem nakładem Redakcyi „Łowca Polskiego“ w Warszawie 1905.

Pytanie 2.

Mam 3 stawy sztuczne, jeden 30 morgowy podłużny, a obok oddzielone groblą dwa mniejsze, t. j. 8 morgowy i 2 morgowy. Wszystkie są zarośnięte szuwarami, trzciną i t. p., mając miejsca wolne i rowy niezarośnięte, któremi stawy (dawne łąki) poprzerzynane. Przez wiosnę i lato spokój dla ptactwa zapewniony, tak że kaczki, łyski, perkozy wywodzą się licznie, i w jesieni roi się od kaczek, zwłaszcza, że ściągają na te jedynie większe stawy z całej okolicy. W czasie odlotu zaś codzień nowe gromady zapadają, a też gęsi, czasem żurawie. W jaki sposób urządza się polowanie zbiorowe dla większej liczby myśliwych?

Odpowiedź 2.

Polować z nagonką w ten sposób, by miejsca, któremi kaczki ciągną, obstawić myśliwymi, a kilku ludzi posłać w szuwary na łodziach, by kaczki płoszyli.

KRONIKA

Niedawno pojawiła się w handlu księgarskim książka p. t. *„Sylwetki koni oryentalnych i ich hodowców"*, napisana przez Stefana Bojanowskiego. Autor podaje w niej w formie nadzwyczaj barwnej i zajmującej historyę stad koni oryentalnych w Polsce, opisuje sławne stadniny tych koni w Antoninach, Białejcerkwi, Gumniskach, Jabłonowie, Jarczowcach, Jezupolu, Pełkiniach, Sławucie, Taurowie i Zarzeczu, kreśląc jędrnym, pełnym werwy i animuszu stylem, sylwetki zarówno wybitnych reproduktorów i klaczy, jak i hodowców koni. W sposób nader interesujący wplata autor w swoją książkę opis życia Beduinów i sposób wychowu i pielęgnowania przez nich koni arabskich.

Bardzo wytworne wydanie i doskonałe a liczne fotografie i ilustracye koni podnoszą wartość dzieła, które wypełnia dotkliwą lukę w literaturze polskiej hipologicznej.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek.